

The top half of the cover features a composite image. On the left, a church tower with a clock face is visible. On the right, a large, bearded religious figure, possibly Jesus, is depicted in a purple robe. The background shows a multi-story building with many windows. The entire scene is framed by a decorative, swirling border.

WOLF KAZIMIERZ

MOJE PIERWSZE LATA W JELENIEJ GÓRZE

- TAK JE ZAPAMIĘTAŁEM

The bottom half of the cover is a black and white photograph of a street scene in Jelenia Góra. It shows a wide street with several buildings, including a large, light-colored building on the left. There are trees, street lamps, and people walking in the distance. The scene is framed by the same decorative border as the top half.

JELENIA GÓRA 2009

SKĄD JESTEM

Nazywam się Kazimierz Wolf. Urodziłem się w 1938 roku w powiecie Łuck na Wołyniu. Do Jeleniej Góry przyjechałem z mamą Stanisławą i starszym o cztery lata bratem Bolesławem w sierpniu 1945 roku. Nasz tata, Walerian Wolf, przybył tu dwa miesiące wcześniej, bo już w czerwcu. Był kolejjarzem; do służby na kolei wstąpił w 1943 roku we Włodzimierzu Wołyńskim, gdzie po tułaczce i dramatycznych przeżyciach osiedliliśmy się względnie bezpiecznie. Niewielu rodzinom to się udało bez utraty kogoś bliskiego. Jak się później okazało, nie był to kres naszej poniewierki. W miarę przesuwania się linii frontu, przemieszczaliśmy się w głąb kraju. Najpierw zatrzymaliśmy się w Zwierzyńcu koło Zamościa, gdzie dwukrotnie cudem uniknęliśmy śmierci pod bombami, a potem przenieśliśmy się do samego Zamościa, by być bliżej ojca, odbywającego niemal bez przerwy służbę na miejscowej stacji kolejowej. Po zakończeniu wojny ojciec został służbowo przeniesiony do Jeleniej Góry, by, jak inni kolejjarze skierowani tutaj z różnych stron Polski, przejąć węzeł kolejowy i zorganizować sprawne i bezpieczne jego funkcjonowanie. Ojciec był w służbie, więc przeniesienie miało dla niego moc rozkazu z właściwymi dla tego szczególnego okresu rygorami.

Nasze rodowe dobra pozostały za nową wschodnią granicą Polski. Opuściliśmy je w połowie 1943 roku w panice, ratując życie w ostatniej chwili przed napaścią ukraińskich "ryzunów". O planowanym napadzie na nasz dom mama została uprzedzona przez Nastię, młodą Ukrainkę z sąsiedztwa, która uczyła się u niej szycia. „Uciekajcie...” – powiedziała mamie – „dziś w nocy przyjdą po was”. Ojciec brał udział w kampanii wrześniowej 1939 roku. Po jednej z bitew został wzięty do niewoli. Dzięki wybitnie aryjskiemu wyglądowi (wysoki blondyn o niebieskich oczach) i niezłej znajomości języka niemieckiego, podszlifowanej podczas pracy "u bauera", udało mu się zbiec z niewoli i szczęśliwie wrócić do domu. Tu jednak rozszalał się wkrótce terror nacjonalistów ukraińskich, który zmusił naszą rodzinę do opuszczenia domu w opisanych wyżej okolicznościach. Na załączonej mapce powiatu łuckiego (*Wołyń naszych przodków: śladami życia. Czas zagłady. Warszawa 2008*) zaznaczyłem istotne miejsca. Podejmując służbę na kolei, ojciec z jednej strony zacierał ślady po ucieczce z niewoli, a z drugiej strony mógł względnie bezpiecznie i sprawnie wykonywać zadania kuriera, jako żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej.

Pobyt we Włodzimierzu podkreśliłem również, dlatego, aby stały się bardziej zrozumiałe dokumenty Powiatowego Urzędu Repatriacyjnego, które w kserokopiach załączam. Charakterystyczne

jest poświadczenie obywatelstwa, nie tylko ze względu na miejsce ostatniego "stałego" zamieszkania, ale także na zdecydowanie obco brzmiące nazwisko, które memu ojcu wcześniej wiele razy pomogło, a teraz zaczynało być naszą udręką.

Wyzwolenie zastało nas w Zamościu. Gdy niemieckie oddziały zaczęły opuszczać w popłochu miasto, mieszkańcy tłumnie ruszyli do Rotundy z nadzieją, że może uda się kogoś uratować z ludzi tam więzionych. Nawet my, dzieci, wiedzieliśmy, że w Rotundzie palą ludzi. Niestety, nikogo nie uratowano. Gdy gnany ciekawością przybyłem na plac wewnątrz Rotundy, zobaczyłem wyjęte już z pieców krematoryjnych, ułożone na ziemi, na pół zwęglone, jeszcze dymiące zwłoki. Widziałem, jak jedna ze starszych kobiet biegających w trwodze od ciała do ciała przywarła do jednego z leżących i zaniósła się spazmatycznym płaczem - "Synu, mój synu"! Ten widok i słowa wryły mi się w pamięć i będą w niej tkwić do końca moich dni. Miałem wtedy sześć lat.

DROGA NA ZACHÓD

Nasza podróż z Zamościa do Jeleniej Góry trwała parę tygodni. Uszkodzone tory, zerwane bombami lub wysadzone mosty, absolutne pierwszeństwo dla taborów wojskowych powodowały częste, czasem kilkudniowe przerwy w podróży. Wreszcie jednak dotarliśmy do Wrocławia: przejeżdżaliśmy powoli, świeżo naprawionymi bądź prowizorycznie ułożonymi torami, tym bardziej ostrożnie, że była już noc i nie wiadomo było, jakie przeszkody mogą pojawić się na torach. To, co zobaczyliśmy przez otwarte na oścież drzwi wagonu towarowego, którym jechaliśmy, przejmowało grozą. Pamiętam posępną, przerażającą ciszę, która zaległa w wagonie. Gdy precisnąłem się między nogami dorosłych, aby zobaczyć, co było tego przyczyną, ujrzałem ciągnące się ruiny domów i dymiące zgliszcza, w wielu miejscach jeszcze żarzące się. Widziałem już przedtem palące się nocą domy i blask pożarów, ale takiej łuny jak wówczas nigdy nie widziałem. I taki widok ciągnął się bez końca. Jeszcze dziś na to wspomnienie przejmują mnie dreszcze. Dlatego bywając obecnie we Wrocławiu, widząc jak to miasto rozwija się i pięknieje, doznaję wrażeń, które dziś mogą być udziałem tylko nielicznych.

"Kiedy już będzie ta Jeleniowa Góra?" - dopytywałem się dorosłych, zmęczony długotrwałą jazdą. Marudzących dzieci było zresztą w wagonie więcej. Byłem w lepszej sytuacji niż one, bo miałem starszego brata, który zapewniał mi opiekę, gdy mama zajęta była pozyskiwaniem prowiantu, wody i przygotowywaniem posiłków. Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Na stacji w Jeleniej Górze czekał już tata, który zaprowadził nas do domu, w którym został zakwaterowany. Kolejarze zajęli mieszkania w budynkach położonych w pobliżu stacji kolejowej. Ulice Słowiańska,

Ziemowita, Powstańców Śląskich, Przemysłowa, Przedświt - usytuowane między Labofarmą (taka była wówczas nazwa obecnej Jelfy) a Bobrem, a także położone po przeciwnej stronie stadionu sportowego: Złotnicza, Świętojańska, Drzymały i Flisaków oraz drugiej stronie ul. Kolejowej (obecnie ul. 1 Maja) - całe Wzgórze Partyzantów, potocznie nazywane tak łącznie z ulicą Bartka Zwycięzcy, Uroczą, Kochanowskiego i innymi przylegającymi, to rejon zakwaterowania pracowników kolei.

Tata został umieszczony w ładnym dwurodzinnym domku (tzw. bliźniaku) przy ul. Przemysłowej. Uliczka była cicha, liczyła po cztery takie domki z każdej strony. Wybudowano je tuż przed wojną - w 1938 roku, w większości wyposażone były w centralne ogrzewanie, miały trzy pomieszczenia piwniczne (w tym pralnię) oraz spore ogródki. Używam czasu przeszłego, bowiem tej ulicy ani tych domków już nie ma. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ich mieszkańcy zostali wywłaszczeni, a domki zburzone. Teren miał być przeznaczony pod rozbudowę "Polfy", jednak plany się zmieniły i w miejscu ładnego niegdyś osiedla, (bo taki sam los spotkał część ul. Przedświt) jest teraz łąka. Kiedy czasami odwiedzam tamten rejon, poprzez ogrodzenie z ul. Powstańców Śląskich rozpoznaję miejsce, w którym było wejście do naszej części domu po dwóch rosnących tam lipach. Załączone zdjęcia przedstawiają właśnie ten fragment ul. Przemysłowej. Zdjęcie nr 1 przedstawia "naszą" część domu; zostało zrobione jeszcze przez Niemców, pewnie pierwszych jego mieszkańców. Do zdjęcia nr 2 - na tle domu pozuję ze starszym bratem Bolesławem (w głębi nasza mama Stanisława).

KOEGZYSTENCJA

Na stacji odbierający nas ojciec uprzedził, że mieszkać będziemy z rodziną niemiecką, dopóki nie zostanie ona wysiedlona do Niemiec. Nie pamiętam chwili pierwszego spotkania z państwem Wudke i ich dziećmi, ale sądzę, że skoro nie zapisałem tego w pamięci, to znaczy, że odbyło się ono spokojnie. Z pewnością obie rodziny były pod wrażeniem. Państwo Wudke nie byli prawowitymi lokatorami w domu, który zajmowali. Kiedy dowództwo armii niemieckiej przemianowało Wrocław na "Festung Breslau", jak wiele innych rodzin tam zamieszkałych, przenieśli się do Jeleniej Góry, zajmując pierwsze lepsze domostwo, które z całym wyposażeniem stało niezamieszkałe, opuszczone w popłochu przez właścicieli. Sądząc z licznych fotografii i mundurów, które pozostawiono w szafach, ta część domu należała do majora SS.

Państwo Wudke mieli dwie córki - Urszulę i Renatę. Rodzice wołali na nie "Uszi" i "Nati". Uszi była o rok starsza ode mnie, a Nati o rok starsza od mego brata Bolka. Byliśmy, więc w tym wieku,

w którym nieznanomość języka nie stanowi istotnej przeszkody we wspólnej zabawie. Siostry pokazały nam schowek wypełniony wieloma książkami. Były to głównie albumy z kolorowymi fotografiami zwierząt, płazów i gadów oraz książki z różnymi historyjkami obrazkowymi i ilustracjami.

Zajmowana przez obie nasze rodziny część budynku składała się z dwóch dużych pokoi i kuchni na parterze oraz dwóch większych pokoi i jednego mniejszego, mansardowego, na piętrze. Do tego właśnie pomieszczenia przylegała spora weranda, dobrze widoczna na obu fotografiach. Państwo Wudke zajmowali parter, nasza rodzina zajęła piętro. W mniejszym z pokoi tata zainstalował kuchnię węglową, a ponieważ w tym pokoju była kompletna instalacja wodociągowa, istniały dogodne warunki do bezkolizyjnego zamieszkiwania. Pamiętam, że rodzice strofowali mnie za wchodzenie do kuchni państwa Wutke, choć byłem tam wprowadzany przez ich córki, np. po to, by napić się wody w trakcie jakiejś zabawy. Były to, więc sporadyczne przypadki. Bywało przy takich okazjach, że pani Wudke częstowała mnie skromnymi wypiekami. Jednak sceną, która najbardziej utkwiała mi w pamięci, było smarowanie przez panią Wudke kromki chleba odrobiną smalcu o wymiarach nie większych niż centymetr na centymetr. Robiła to bardzo szybko, "zamiatając" nożem po kromce, by tłuszcz nie zdążył utkwąć w zagłębieniach chleba i przez to mógł pokryć całą powierzchnię kromki. Nie częstowała mnie taką racją, ale też nie oczekiwałem tego wiedząc, że moja mama nie musiała tak szybko operować nożem po kromce, a poza tym w naszym smalcu były skwarki.

Z wyżywieniem było ciężko. Nasza rodzina jakoś sobie radziła dzięki temu, że mama umiała szyć, a artykuły żywnościowe były najlepszym w tym czasie środkiem płatniczym. Ponieważ w obszernym ogrodzie przydomowym zastaliśmy otoczony wysoką siatką plac z kurnikiem i klatką na króliki, rodzice szybko zrobili użytek z tych obiektów. Wkrótce też ojciec sprawił sobie wędkę i wraz z innymi kolejarzami w dni wolne od służby wybierał się nad jezioro w Pilchowicach lub na zalew we Wrzeszczynie i nie pamiętam przypadku, by wrócił z pustym plecakiem. Jeszcze wody tutejszych rzek, stawów i jezior nie były zatrute, więc ryby stanowiły cenne uzupełnienie, a często podstawowy środek naszego wyżywienia. Bywało, że kiedy połów udał się szczególnie, ojciec zanosił ryby do znajomych właścicieli restauracji i w ten sposób zasilał nasz skromny budżet domowy.

Był to już chyba 1946 rok, gdy tata przyniósł dary z paczek UNRRA. Z artykułów, jakie przydzielono naszej rodzinie, najlepiej pamiętam czekoladę, taką krojoną z bloku (jej smaku nigdy nie zapomnę), a także mleko z puszki. Dostałem też przyrząd do pisania - dziwny, wyglądający na

pióro bez stalówki. Ktoś mi wyjaśnił, że jest to pióro kulkowe. Niestety, nijak nie mogłem nalać do niego atramentu, kiedy przestało pisać i musiałem je z żalem wyrzucić.

Pan Wudke pracował w zakładzie optycznym Carla Zeissa. Z tego, co mi wiadomo, a z Jeleniogórską Wytwórnią Optyczną przez dłuższy czas moje losy były mocno związane (ukończona przyzakładowa szkoła zawodowa, praca w księgowości po ukończeniu Technikum Rachunkowości, stypendium fundowane przez JWO w czasie studiów prawniczych i dalszy okres pracy po studiach aż do roku 1966, kiedy to zostałem przeniesiony służbowo do Śląskich Zakładów Mechaniczno-Optycznych w Katowicach) - zakład ten funkcjonował po wojnie bez większej przerwy. Nie został "rozsabrowany", a ze względu na przedmiot produkcji, wymagający specjalnych kwalifikacji, jeszcze przez kilka lat po wojnie byli w nim zatrudnieni niemieccy fachowcy. Kiedy w latach 1952-1954 byłem uczniem Zasadniczej Szkoły Optycznej, technologii szkła uczył nas niemiecki inżynier, dobrze mówiący po polsku, ale i on niedługo potem wyjechał.

Państwo Wudke wyjechali jednym z pierwszych transportów do Niemiec - było to latem bądź jesienią 1946 roku. Nie przypominam sobie, aby między mną i bratem a Urszulą i Renatą dochodziło do sporów w trakcie zabaw, na tle prawa do korzystania z zastanego po poprzednich lokatorach dobytku, takiego jak narty czy rowery. Ponieważ rodzice też prowadzili gospodarstwo z poszanowaniem wzajemnej autonomii, nie sądzę, by rodzina Wudke miała powody do zachowania nas w nieprzychylniej pamięci. W tym przekonaniu utwierdza mnie fakt, że w połowie lat osiemdziesiątych, gdy po śmierci ojca mama zamieszkała z nami, zaś naszą część domu oddaliśmy „Polfie”, Urszula i Renata odwiedziły Jelenią Górę i u sąsiada z drugiej „połówki” domu, który jeszcze się nie wyprowadził, szukały kontaktu z bratem i ze mną. Sąsiad nie znał naszych adresów i niestety nie zadał sobie żadnego trudu, by spróbować nas zlokalizować, choć przy pomocy książki telefonicznej uzyskanie odpowiednich namiarów nie byłoby trudne. Kiedy po czasie dowiedzieliśmy się o tym, obaj z bratem byliśmy bardzo rozżaleni, że do spotkania nie doszło.

SZKOŁA I POZA SZKOŁĄ

Wprawdzie nie od 1 września, lecz z niewielkim poślizgiem, w 1945 roku rozpoczęliśmy naukę w szkole, ja w pierwszej klasie, brat Bolek w czwartej. Najszybciej ze szkół podstawowych w Jeleniej Górze ruszyła szkoła podstawowa nr 1 przy ul. Strzeleckiego (obecnej Piłsudskiego) i do niej właśnie zostaliśmy zapisani. Z ul. Przemysłowej na Strzeleckiego był spory kawałek drogi. Pierwszy raz do szkoły zaprowadziła mnie mama, a od dnia następnego musiałem radzić sobie sam. Do szkoły drogę miałem łatwą, bo brat prowadził, ale wobec tego, że lekcje kończyliśmy o różnych godzinach, wracać musiałem sam. Bardzo dobrze pamiętam pierwszy samodzielny powrót. Poblądziłem i zamiast dojść do ul. Kolejowej, trafiłem na plac przy kościele parafialnym Świętych Erazma i Pankracego. Na szczęście drogę do domu stamtąd już znałem, gdyż na niedzielne msze do tego właśnie kościoła chodziliśmy.

Z pierwszych lat szkolnych utkwilo mi w pamięci zdarzenie związane z kolegą, który dołączył do nas w drugiej klasie. Wyższy ode mnie i moich rówieśników i nieco starszy, był bardzo cichy, nie narzucał się ze swoim towarzystwem, choć od nas nie stronił. Bardzo słabo czytał i pisał, ale w rachunkach był bardzo dobry. Była późna jesień 1946 roku i trzeba już było szykować sprzęt narciarski, a ja nie miałem kijków. Te, które znaleźliśmy w naszej piwnicy, były dla mnie zdecydowanie za duże. Podzieliłem się swoim zmartwieniem z tym właśnie kolegą, który miał na imię Irek. A on na to: "Ja ci mogę dać kijki, mam ich w domu cały strych." Po lekcjach poszedłem z nim do jego domu, który był położony gdzieś na początku ulicy Grunwaldzkiej po lewej stronie. Po drodze uzgodniliśmy, co będzie ekwiwalentem za te kijki. Irek chciał jakieś książeczki do czytania. Gdy weszliśmy do jego mieszkania, powiedział mamie, kim jestem i po co przyszedłem. Już wcześniej z rozmowy pani wychowawczyni z Irkiem wiedziałem, że jego ojciec zginął podczas wojny. Mama Irka smażyła właśnie placki kartoflane. Oczywiście zaraz usadziła nas za stołem i tymi plackami uraczyła. Były bardzo dobre - smakowały jak placki mojej mamy. Potem Irek zaprowadził mnie na strych, gdzie kijków było zatrzęsienie, jakby była to jakaś baza narciarska, bo nart też było sporo. Wybrałem sobie najbardziej odpowiednie do mego wzrostu i zadowolony poszedłem do domu. Następnego dnia przyniosłem Irkowi do szkoły kilka książeczek, takich z serii "Poczytaj mi mamo", ale kolega powiedział, że powinienem je dać jego mamie. Zdziwiło mnie to, bo przywykliśmy już do tego, że pozwolenie rodziców trzeba było mieć na oddanie jakiejś rzeczy, a nie na przyjęcie. Ale wobec jego życzenia, po lekcjach znowu poszedłem z Irkiem do jego domu. Jego mama znowu mnie czymś poczęstowała i była dla mnie bardzo miła. Gdy wyjąłem z tornistra książeczki i wręczyłem jej, zaczęła się im przyglądać z wielkim przejęciem. Gdy tak stałem

niepewny, czy uważa wymianę za uczciwą czy nie, mama Irka przytuliła mnie do siebie, do swego pachnącego olejem fartucha i rozplakała się. Byłem speszony, nie rozumiałem sytuacji, w której się znalazłem. Dopiero po powrocie do domu, kiedy opowiedziałem rodzicom to zdarzenie wytłumaczono mi, że tam, skąd przyjechał Irek ze swoją mamą nie było elementarza ani żadnego polskiego słowa drukowanego.

ECHA WOJNY

Wojna długo jeszcze władała naszą wyobraźnią. Podsycali ją nie tylko rozmowy rodziców i wujków podczas rodzinnych spotkań, ale także opowieści różnych obcych ludzi, wracających z przymusowych robót w Niemczech, z obozów jenieckich lub koncentracyjnych, którzy zatrzymywali się w Jeleniej Górze w nadziei, że tutaj trafią na ślad rodziny rozproszonej podczas wojny. Wiele z tych osób, zwłaszcza pochodzących z Wołynia, ojciec zapraszał do domu, jako ziomków, aby ugościć i dać odpocząć przed dalszą podróżą. Pamiętam pana, którego ojciec zaprosił do nas do domu. Był bardzo, wychudzony i smutny. To było pod wieczór, więc mama przygotowała kolację. Gość opowiadał straszne rzeczy. Moi rodzice prosili, aby się nie krepował i częstował, „czym chata bogata”, a on skwapliwie z tego zaproszenia korzystał. Wreszcie po kolacji, kiedy stół nie był jeszcze uprzątnięty, mężczyzna zamilkł i dłuższą chwilę wpatrywał się w leżący na stole chleb (wtedy nie kroїło się kromek na zapas, tylko odkrawało kromki według bieżącej potrzeby). Gdy on tak wpatrywał się w pozostałą część bochenka chleba, rodzice też zamilkli. Obaj z bratem nie rozumiejąc sytuacji, również byliśmy cicho. Wreszcie gość się odezwał: „Nie potrafię tego zrozumieć, leży na stole chleb, mogę go sobie wziąć i ukroić ile chcę, a mnie się nie chce jeść. Będąc w obozie nigdy nie przypuszczałem, że może mi się coś takiego przydarzyć”. Te słowa utkwiły mi w pamięci, gdyż rodzice wielokrotnie później opowiadali przebieg tego spotkania w gronie odwiedzających nas członków rodziny, sąsiadów i znajomych.

Jednak w naszej świadomości utrwały się też jaśniejsze karty o wydarzeniach minionej wojny. Zawdzięczaliśmy to Arkademu Fiedlerowi i jego książce "Dywizjon 303", która już w 1946 roku została wydana w kraju. Jeszcze nie czytałem na tyle biegle, by osobiście pasjonować się jej lekturą, ale miałem przecież starszego brata, który albo czytał mi głośno, albo opowiadał przeczytane już rozdziały. Witold Urbanowicz, Tolo Łokuciewski, Jan Zumbach, Zdzisław Krasnodębski, Mirosław Ferič - to byli nasi bohaterowie - są nimi do dzisiaj. Dlatego, gdy czytam na obwolucie wydanej niedawno

książki Lynne Olson i Stanleya Clouda „Sprawa honoru” podtytuł: „Zapomniani bohaterowie II Wojny Światowej” nie mogą powstrzymać się od pytania: „Przez kogo zapomniani?”. Choć swoją drogą np. Czesi nakręcili o swoich lotnikach walczących w Bitwie o Anglię film „Ciemnoniebieski świat”, a my, którzy daliśmy Anglii o wiele więcej i lepszych pilotów mamy tylko „Sprawę pilota Maresza””. Od innych wymagamy pamięci o naszych bohaterskich dokonaniach w czasie wojny a sami pamięci tej nie utrwalamy. Mam nadzieję, że serial o Cichociemnych „Czas honoru” zwiastuje odejście od tej niedobrej praktyki.

Nasza ekscytacja bojowymi wyczynami lotników Dywizjonu 303, przełożyła się na niebywały podziw i szacunek, z jakim odnosiliśmy się do jednego z sąsiadów, który będąc w czasie Bitwy o Anglię mechanikiem w jednym z polskich dywizjonów, po wojnie wrócił do Polski. Nie było mu tu łatwo. Dopiero później zrozumiałem, dlaczego tak często widzieliśmy go zataczającego się pod wpływem alkoholu. Ale dla nas i tak był bohaterem. Będąc "pod gazem" lubił z nami, podrostkami, pożartować, a zwracał się do nas per "pan". I my go lubiliśmy, nigdy nie, naśmiewaliśmy się z niego, gdy nie mógł otworzyć furtki. Dlatego było nam ogromnie przykro, gdy dowiedzieliśmy się, że któregoś ranka, na początku lat pięćdziesiątych, znaleziono go bez życia nieopodal domu.

TĘSKNOTA ZA LEPSZYM ŚWIATEM

Gdy w maju 1945 roku skończyła się wojna byliśmy małymi dziećmi, jednak w wielu przypadkach ciężko doświadczonymi przez los. Każdy z nas miał za sobą traumatyczne przeżycia; dla wielu moich koleżanek i kolegów były to przejścia tragiczne. Dlatego dla siedmio-, ośmiolatków, jakimi byliśmy, poszukiwanie czegoś, co pozwoliłoby oderwać się pamięci od tych wydarzeń, odsunąć myśli o strachu, głodzie, opuszczeniu, czegoś, co zapłodziłoby wyobraźnię, było czymś naturalnym. Tym, co pozwoliło najszybciej ten cel osiągnąć, był, tzw. „film rysunkowy”, który dziś nazywamy komiksem. Niektóre gazety drukowały serie przygód bohaterów wykreowanych przez własnych redakcyjnych twórców - i tak wymienię tu najpopularniejsze: łódzki Ekspres Ilustrowany *Przygody Wicka i Wacka*, wrocławski Kurier Ilustrowany serie *Józko i Walerko* oraz *Felek na wojnie*, Dziennik Łódzki – *Przygody Agapita Krupki* w coraz to innych częściach fabularnych. Codziennie drukowano po jednym odcinku serii, obejmującym cztery obrazki i krótki tekst pod każdym z nich. Gazety były bardzo tanie (zwłaszcza „wczorajsze”), dlatego kupowaliśmy wszystkie interesujące nas tytuły,

kolejne odcinki wycinaliśmy i wklejaliśmy do zeszytów. Skompletowane i znane na pamięć stanowiły później pożądaną ekwiwalent w handlu wymiennym, jaki stale prowadziliśmy z kolegami, by zdobyć np.: akcesoria rowerowe lub elementy do nakręcania kluczykiem kolejki.

W miarę upływu czasu i postępów w nauce czytania, ja i moi rówieśnicy coraz więcej uwagi poświęcaliśmy lekturze książek. Największym powodzeniem cieszyły się powieści o kowbojach i Indianach, korsarzach i podróżnikach. Lektura powieści Maxa Branda, J.O. Curwooda, J. F. Coopera i innych stwarzała możliwość ucieczki od złych wspomnień. Dużą popularnością w tym czasie cieszyła się książka Czesława Centkiewicza "Biała foka". Nie miałem wówczas pojęcia, że jej autor jest mieszkańcem Jeleniej Góry i że *WIELOKROTNE* przechodziłem pod oknami jego mieszkania.

PRZEMIANY

W połowie lat pięćdziesiątych moje upodobania czytelnicze zaczęły przybierać inny kierunek. Po śmierci Stalina dało się, bowiem zauważyć większą odwagę rodziców w poruszaniu tematów dotąd „zakazanych”. Ojciec nie wypraszał mnie już z pokoju, gdy rozmawiał z odwiedzającymi nas wujkami i stryjkami o sytuacji politycznej. Dopiero wtedy dowiedziałem się, co znaczy często powtarzane przy takich okazjach słowo „Katyń” i do czego odnosi się określenie „nóż w plecy”. Jeszcze na długo przed wydarzeniami poznańskimi niektórzy nauczyciele w szkole (byłem uczniem Technikum Finansowego przy ul. Teatralnej) coraz śmielej podpowiadali nam ciekawe pozycje do przeczytania. Dzięki pani Jędrzejec, nauczycielce języka polskiego, mimo trudności, bo książka była trudna do zdobycia, trafiłem na „Złego” Leopolda Tyrmanda. Nie zmyliła mnie sensacyjna fabuła tej powieści, dobrze wiedziałem, kogo uosabia postać Kudłatego. Jednak autorem, który najbardziej w tym czasie mnie intrygował był Marek Hłasko. Jego opowiadania drukowano w odcinkach w niektórych gazetach i czasopismach. Te utwory, do których udało mi się dotrzeć, odbierałem, jako pochwałę indywidualizmu, zaprzeczenie podstawowej tezie dotychczasowej indoktrynacji, że nie jednostka, a kolektyw jest najważniejszym elementem postępu, jego siłą sprawczą. Nie byłem odosobniony w takim właśnie rozumieniu przesłania płynącego z utworów Hłaski. W tym samym duchu odczytałem również inną głośną powieść tamtego czasu w Polsce, nieznanego nam dotychczas pisarza amerykańskiego Ernesta Hemingwaya, – „Komu bije dzwon.”

Ogromną popularnością wśród dorastającej młodzieży cieszyły się kazania księdza Wersztajna w kościele parafialnym. Na mszach rozpoczynających się o godzinie dziesiątej, przeznaczonych dla starszej młodzieży, ścisk był niebywały. To ksiądz Wersztajn swymi

plomiennymi, bardzo odważnymi kazaniami pobudzał zainteresowanie dla nadchodzących przemian politycznych oraz budził związane z nimi nadzieje.

Również lekcje z przedmiotu "ekonomia polityczna", prowadzone od drugiej klasy technikum, pozwoliły mi na lepsze zrozumienie tego, co dzieje się po naszej stronie „Żelaznej Kurtyny”. Dyrektor szkoły, który osobiście ten przedmiot prowadził, tłumaczył nam, na czym polega błędna teoria Władysława Gomułki” - cytuję: „...Do jednego worka wrzucił własność indywidualną i drobnotowarową”. Wydarzenia poznańskie w październiku 1956 roku i objęcie przez Władysława Gomułkę steru władzy w Polsce spowodowały, że w lekcjach ekonomii politycznej mieliśmy ponad miesięczną przerwę. Dyskusje na bieżące tematy, a przede wszystkim na temat istoty kultu jednostki, przeniosły się na lekcje arytmetyki gospodarczej, której nauczyciel, pan Fiedler stwarzał atmosferę zachęcającą do stawiania pytań oraz do dyskusji.

Połowa lat pięćdziesiątych przyniosła nam jeszcze jeden przedmiot fascynacji, bo oto "jazz wyszedł z podziemia". Wiedzieliśmy o festiwalu jazzowym w Sopocie, ale dopiero, gdy do Jeleniej Góry zaczęły przyjeżdżać zespoły jazzowe, mogliśmy na żywo chłonąć tę muzykę. Pamiętam mój pierwszy udział w takim koncercie, który odbył się w teatrze, a grał zespół dixielandowy Jana Grzewińskiego z Poznania. Potem już nie opuściłem żadnego koncertu, a ulubiony przez nas zespół Zygmunta Wicharego bardzo często gościł w Jeleniej Górze. Wszystkie występy odbywały się w teatrze przy nadkompletach publiczności. Niebawem do Jeleniej Góry zawitał saksofonista Jan Walasek z piosenkarką Carmen Moreno. Ich koncert w teatrze TO BYŁ ROCK AND ROLL! Kiedy pojawiły się plakaty zapowiadające ten występ, dyrektor szkoły podczas porannego apelu (odbywały się one przed rozpoczęciem lekcji) uprzedził nas, że każdy uczeń, który wybierze się na ten koncert zostanie wyrzucony ze szkoły. W tym czasie prasa rozpisywała się szeroko o wydarzeniach w Hamburgu, gdzie podczas koncertu Billa Haleya i jego Komet publiczność zdemolowała halę. Mówiło się, że muzyka ta wyzwala u młodych ludzi najniższe instynkty. Faktycznie, tego wieczoru widziałem w teatrze dwóch naszych nauczycieli stojących obok pań bileterek, ale tłok był tak ogromny, że wielu z nas udało się przemknąć niepostrzeżenie na salę. Obawy naszych wychowawców były bezpodstawne - sala teatru ocalała.

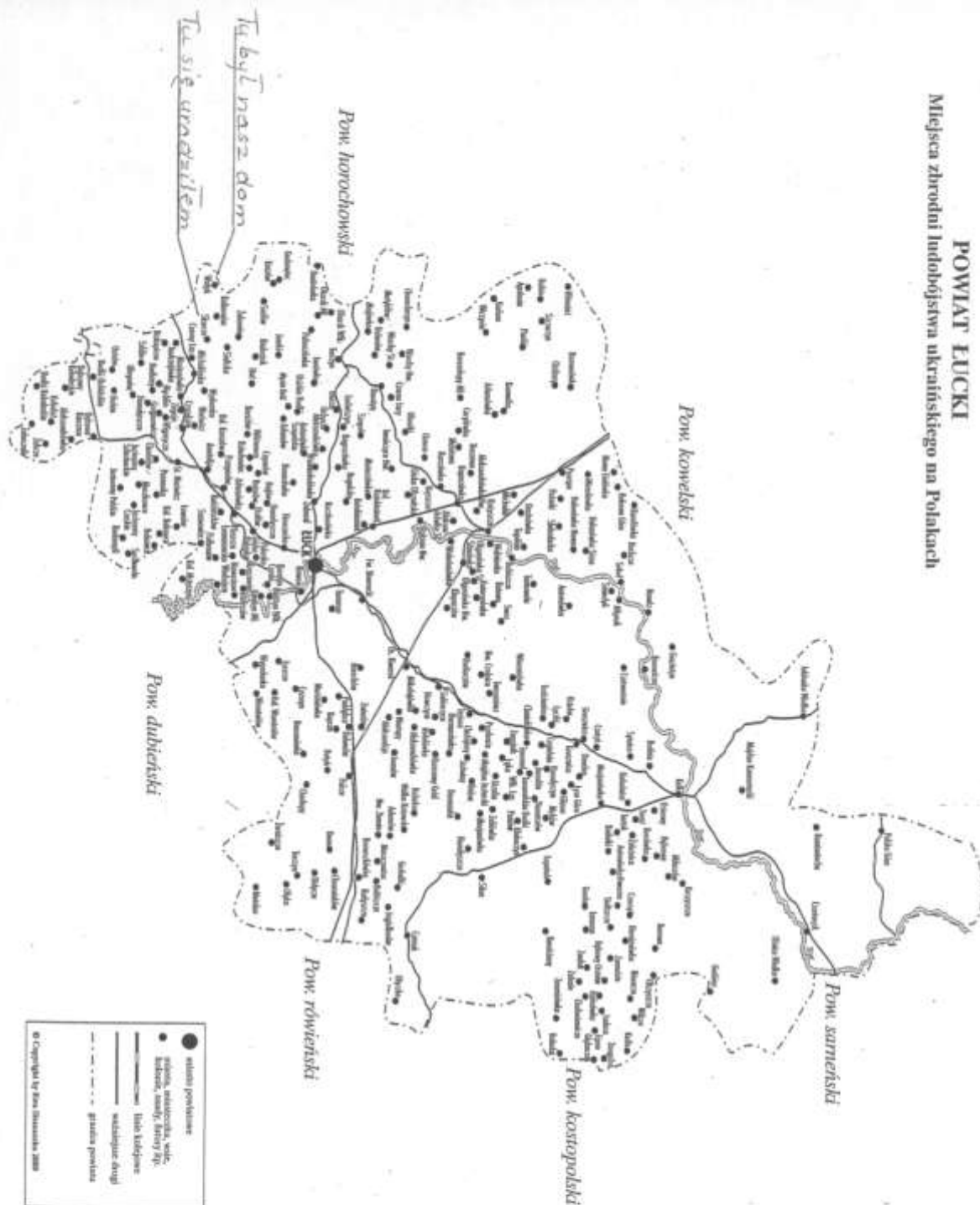
Skoro o teatrze mowa, warto wspomnieć, że w latach 1956 - 1958 do teatru chodziliśmy nie tylko z okazji odbywających się w nim koncertów, ale także na premiery sztuk wystawianych przez tutejszy zespół aktorów. Spektakle te cieszyły się dużym zainteresowaniem młodzieży. Mieliśmy swoich ulubieńców – należeli do nich: Czesław Stopka, grający role amantów, w rolach

dramatycznych - Paweł Baldy, Janina Orsza-Łukasiewicz, Janina Świącicka. Dla tych aktorów chodziliśmy po kilka razy na tę samą sztukę. Byliśmy bardzo dumni, gdy Janina Świącicka zagrała w filmie "Trzy kobiety". Imponował nam podniosły nastrój panujący na sali przed spektaklem, skupienie widzów w czasie jego trwania, przyciszone rozmowy w antraktach. Czuliśmy się wyróżnieni, że możemy w tym uczestniczyć. Do eleganckich strojów pań i panów i my staraliśmy się dostosować. Jednym słowem, nauczyliśmy się kultury. Premiery odbywały się przy pełnej frekwencji, a nawet przy nadkomplecie widzów, bo zwykle trzeba było dostawiać krzesła. Kolejne przedstawienia również cieszyły się dużym zainteresowaniem publiczności. Grano wówczas głównie repertuar klasyczny, ale sporo było sztuk współczesnych.

Rok 1956 był dla Polaków ważną cezurą czasową – skończył się stalinizm, rozpoczęła się odwilż. Dla mnie taką graniczną datą był rok 1957, gdy zdałem maturę i wkroczyłem w dorosłość. Moje życie zmieniało się, czekały mnie inne wyzwania. Dlatego moje wspomnienia dotyczą tych pionierskich, pierwszych lat spędzonych w Jeleniej Górze i urywają się w tym właśnie momencie. Być może jeszcze kiedyś do nich powrócę, by opisać późniejsze czasy...



POWIAT LUCKI
Miejsca zbrodni ludobójstwa ukraińskiego na Polakach



493. Miejsca zbrodni ludobójstwa ukraińskiego na Polakach. Opr. Ewy Siemaszko w: Władysław Siemaszko, Ewa Siemaszko „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945”, Wydawnictwo von borowiecky, Warszawa 2000.

Rzeczpospolita Polska
Państwowy Urząd Repatriacyjny
Oddział w Jeleniej Górze

Nr dz. 2/197/46

Dnia 27 sierpnia 1946 r.

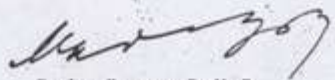
50

(3)

ZAŚWIADCZENIE Nr 202/46

Państwowy Urząd Repatriacyjny Oddział w Jeleniej Górze na podstawie (przedłożonych dokumentów ~~zeznani~~ dwóch świadków) stwierdza, że Ob. Wolf Walerian, z. Józef
narodowości polskiej urodzony w Zagajach,
gm. Podbrzezie, p. Kowalew, rej. Wołyń
dnia 14 grudnia r. 1909, stale zamieszkały (przed przybyciem do Polski) w Włodzimierz
gmina Włodzimierz pow. Wołyń woj. Wołyń
jest repatriantem przybyłym w miesiącu marcu r. 1944.

Aswiadczenie niniejsze nie służy jako dowód tożsamości.


Radca Prawny P. U. R.

ZARZĄD MIEJSKI
w Jeleniej Górze
Wydział II. Administr.
Ref. Praw.-Administr.

Nr A. P. 1/126. 487

Jelenia Góra, dnia

21 lutego 1948 r.

POŚWIADCZENIE OBYWATELSTWA

Ob. Walerian Wolf

urodzony (a) dnia 14 grudnia 1909 w Zagajach

powiat Horochowski b. województwo Wołyńskie

syn (córka) Józefa i Zofii z domu Szwarców

zamieszkały (ta) obecnie w Jeleniej Górze, ul. Przemysłowa 8

powiat Jeleniogórski województwo Wrocławskie

posiada obywatelstwo ^{Państwa} ~~Narodu~~ Polskiego na zasadzie art. 2 pkt. 1 lit. d.
Ustawy z dnia 20 stycznia 1920 roku (Dz. U. R. P. Nr 7 poz. 44)
Poświadczenie jest zapisane we właściwym rejestrze pod Nr a/ 145/49



Prezydent Miasta
Gorczyca Stanisław
Lubczyński Kancelarz

Opłatę stempłową od poświadczenia obywatelstwa zł 50— pobrano w znaczkach stemplowych i skusowano na podaniu.



Hirshberg, późniejsza ulica Przemysłowa 8 (fot. niemiecka)



Jelenia Góra, rok 1946, ulica Przemysłowa 8